Nr. 25. We Lwowie dnia 24. czerwca 1900. Rok 8.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Z DZIEJÓW PRASTAREJ WSZECHNICY.

III. Najjaśniejsza karta.

(A. Małecki: Karta z dziejów uniwersytetu krakowskiego).

W czasie wielkiej schizmy papieskiej odegrali mistrze krakowscy tak piękną rolę, że nietylko na całym świecie rozbrzmiała sława Akademji, ale jeszcze i dziś nawet niepodobna się oprzeć uczuciu podziwu dla ludzi, którzy przeciwko całej potędze świata stanęli twardo przy swoich przekonaniach i... wytrwali.

Kiedy sobór bazylejski w roku 1434. wybrał antypapieża w osobie Feliksa V., wszystkie akademje, nie wyłączając krakowskiej, stanęły po jego stronie. Wkrótce nowo obrany papież wyprawił poselstwo do Polski z wezwaniem do posłuszeństwa. Uniwersytet krakowski wziął na siebie teoretyczne uzasadnienie prawomocności soboru, oraz obranego w Bazylei papieża. Z ramienia jego Tomasz Strzępiński prace oddzielne ze sobą powiązał i powstały w ten sposób traktat został wysłany dostojnikom kościoła, zgromadzonym w Bazylei. Wywołał sukces niespodziewany. Wyrywano sobie formalnie z rąk ów memorjał mistrzów krakowskich. Ale zwolna poczęło zwyciężać stronnictwo przeciwne. Rzym brał przewagę nad Bazyleją, papież nad antypapieżem Powoli zjeżdżają się przed tron Mikołaja V. posłowie z obedjencją całego świata katolickiego, między nimi także poselstwo Kazimierza Jagielończyka.

Cóż czyni Akademja krakowska?

W pierwszych dniach lipca 1448. całe grono członków tego ciała naukowego zostało wezwane przed króla. Salę tronową zapełnił świetny tłum dworzan, świeccy senatorowie i dostojnicy królestwa, biskupi prawie z całej Polski i Litwy — zresztą co tylko było znakomitszego w stolicy, Na tronie zasiadł młody, od roku ledwo koronowany Kazimierz Jagiellończyk, obok niego legat papieski. Kiedy na dany znak poważne grono akademików, z kilkudziesięciu osób złożone, ze schylonymi czołami przybywało przed ten majestat najwyższej władzy, utkwili w nich wzrok wszyscy obecni z natężoną ciekawością, a na wielu twarzach wyczytać było można i inne jeszcze górujące nad ciekawością uczucia — współczucie, obawę, niechęć. Król przyjął przybywających z zachmurzonem obliczem.

Zostali zapytani mistrzowie głównej szkoły krakowskiej, dlaczego sami jedni w Królestwie odmawiają posłuszeństwa papieżowi Mikołajowi V?

Zabrał głos na to jeden z ich grona i oświadczył w imieniu uniwersytetu w słowach pokornych wprawdzie, ale stanowczych, że gdyby Mikołaja za papieża uznali, toby działali wbrew przekonaniu i sumieniu swojemu, gdyż szkoła krakowska uważa sobie za obowiązek konieczny wytrwać na tem stanowisku, które przed 14 laty zajęła. Dopóki nie usłyszą innych, lepszych dowodów, przemawiających za Mikołajem V. nie godzi im się działać wbrew sumieniu i przekonaniu. Jakżeby mogli mimo, że trwają przy dawniejszych zapatrywaniach, zacząć mówić teraz przeciwnie — tylko dlatego, że im czynić tak nakazano.

Po takiej odpowiedzi odesłano ich w niełasce do domu. Namyślano się, co czynić. W dniach następnych, przyzywano uniwersytet przed króla po raz drugi i trzeci, nawet czwarty, zawsze z tym samym skutkiem. Grożono odebraniem beneficjów, rozpędzeniem, uwięzieniem najwinniejszych. Ale i to żadnego nie sprawiało wrażenia. W całym Krakowie nastąpiło wielkie naprężenie umysłów, bo mistrzowie szkoły krakowskiej otoczeni byli czcią powszechną. W rzeczach kościoła dotyczących dzierżyli oni potąd ostatnie słowo. Teraz ujrzano ich w waśni z tronem, prawie w bucie przeciw stolicy apostolskiej. Widziano

ich zagrożonych odjęciem katedr. O pojednaniu lub ustępstwach nie mogło być nawet mowy.

Powiedziano profesorom, że wszystkie uniwersytety porzuciły już sprawę soboru. Wszechnica wysyła listy z zapytaniem do uniwersytetów w Paryżu, Wiedniu, Lipsku, Erfurcie i Kolonji. Zewsząd nadeszły odpowiedzi potwierdzające, ale i to nie pomogło. Uniwersytet postanowił raz powziętego przekonania nie zmienić.

Dopiero po dobrowolnem złożeniu tiary przez Feliksa V. w r. 1449 mogli mistrzowie krakowscy złożyć hołd Mikołajowi V. z tem poczuciem wewnętrznego zadowolenia, że spełnili swój obowiązek, nawet wśród trudnych okoliczności.

Złożyli broń, ale dopiero na rozkaz własnego wodza — sami jedni, którzy go nie odstąpili do końca.

PUHAR MOJEGO SERCA.

O jak ostrożnie niosę ciche serce moje!
O jak z niezmierną trwogą niosę je przez życie!
Omijam drogę, którą torują przeboje,
Omijam strome ścieżki, gdzie grozi rozbicie.
Bo z takim trudem dałem mu ciszę ukojną,
Z takim trudem zdobyłem dla niego ostoję,
Przystań dla umęczonych, milczącą, spokojną...
O jak ostrożnie niosę ciche serce moje!

O jak ostrożnie niosę mój puhar z kryształu!
O jak z nim trwożnie stąpam wśród drogi mej cichej,
Zdala od uczt, gdzie pośród płomiennego szału
Biesiadnicy trącają w wezbrane kielichy!
Gorycz rysę pęknięcia wyżarła w nim wieczną,
A z takim trudem długo, cierpliwie, pomału
Napełniałem go winem łez i krwią serdeczną...
O jak ostrożnie niosę mój puhar z kryształu!...

Leopold Staff.

W Świętojańską noc.

Dziś — dziś się dowiem.

W głuchą, czarną noc letnią powie mi las, czy to prawda...

W głuchą, zaczarowaną noc, kiedy z zapartym oddechem stać będą drzewa,

W zaczarowaną krótką noc, przez którą niebo z pożogi słonecznej nie stygnie,

W jedyną noc, kiedy echo śpi.

Oprócz mnie nie usłyszy nikt — nikt —

.... Pójdę....

Tędy — łąką...

* * *

Nie widzę nic, ale ja wiem, że to tędy...

W chłodną, czarną próżnię wyciągam ręce przed siebie ku tej nieznanej jeszcze prawdzie, w ciemność je wyciągam, ku tej prawdzie, którą mam usłyszeć tej nocy i w sobie zawrzeć na zawsze, a której oprócz mnie nie usłyszy nikt — nikt...

Cisza. Wszystko czeka na coś, — wszystko słucha, nawet kwiaty nie pachną; — boją się oddychać...

Ciemno, ale ja wiem, że to tędy...

Znam przecie tę ścieżkę wązką, wskroś pól biegnącą i czuję rosę, lecącą mi z kłosów na wyciągnięte ręce...

— A teraz równia, otwarte pola i szeroki oddech przestrzeni.

Zboża zostały już poza mną...

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Co to?... Ktoś — gdzieś... Organy?... Wyraźnie organy... Tak! Wiem już. — Raz dawno zapadł się kościół — to tu... Woła w głębie... Cicho, cicho, — zejdę, ale nie teraz, aż z lasu wrócę — aż się dowiem...

Zapadły kościół...

Różyce kolorowych okien i promień słońca, przestrzelony przez szkła. Powiędłe, chorągwiane płachty, drgające kryształy pająków, srebrna lampa i czerwony lotus wiecznego płomienia w tej lampie.

Ołtarz, przed którym dawano raz ślub...

Zapadło się wszystko. Zapadło się tak nagle, że promień słoneczny nie zdążył uciec, tylko, jak strzała złota, złamany, zapadł się razem i świeci tam gdzieś w głębi...

Tędy — łąką...

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Czuję wrzosy, gnące mi się pod stopą i woń lasu mnie ogarnia żywiczna.

SYMBOLISTA Z PRZED PIĘĆDZIESIĘCIU LATY

PRZEZ

WALERJĘ MARRENÉ-MORZKOWSKĄ.

II. O chleb było wówczas w kraju bardzo łatwo, kto tylko chciał pracować, miał go do syta. Pomimo to młode literackie grono po większej części żyło w nędzy, bo nie mogło się poddać warunkom życiowym. Byli pomiędzy nimi synowie niezamożnych rodzin. Ci zaś, którzy mieli majątek, trwonili go szybko, z ostentacyjnem lekceważeniem grosza, by potem żyć z dnia na dzień kosztem rodziny lub przyjaciół, pysznić się swym niedostatkiem i przybrać nazwę cyganów. Filisterstwu przeciwstawiano cyganerję. I ta francuska nazwa była powszechnie utarta. Cyganie mieli bardzo małe wymagania, mieszkali na tradycyjnych poddaszach, nigdy nie opłacanych, sprzęty ich ograniczały się do minimum możliwości, nosili z umysłu wytarty ubiór, pogniecione kapelusze, albo też stroje dziwaczne, niebywałych kolorów. Trupie główki były ich ulubioną ozdobą. Starali się wyróżniać wszelkiemi sposobami od nienawistnych filistrów, lekceważyli formy towarzyskie właśnie dlatego, że ci filistrzy przywiązywali do nich wagę.

Obowiązkiem człowieka, było tylko rozwijać ducha, a nie dbać o żadne zewnętrzne rzeczy, taką była zasada całego grona młodych. Odwracali się więc z pogardą od żywych trupów, a szli do chat wieśniaczych, z głęboką wiarą, iż tam znajdą serca czyste i gorące, nieskalane samolubstwem.

W rzeczywistości nie mieli wyobrażenia o istocie ludu, znali go tylko z marzeń, a w tych marzeniach były jeszcze odbłyski szkoły Russa o doskonałości pierwotnego człowieka, nie zepsutego cywilizacją. Wiara ta była wygodną dla młodych marzycieli, na niej budowali przyszłość.

Dziekoński, przodownik całej grupy, wołał: „Jeden tylko duch gminu, odwieczny, a zawsze młody, nieugięty zimnemi badaniami, buja w przestrzeni, dopóki o niezmierzonych skrzydłach jego zaczną rozprawiać, jak o zaginionych olbrzymach“.

Ci więc, którzy chcieli reformować społeczeństwo, winni byli zbliżyć się do tych olbrzymów. Dla tego to młodzież podróżowała pieszo po kraju, zachodziła do chat, starała się przejąć obyczaje ludu, a nawet i strój jego.

W jednej ze swych powieści, Dziekoński opisał uczucie wstydu, jakie ogarnęło bohatera, gdy wobec prostych ludzi ujrzał się we fraku — w tym znienawidzonym ubiorze filistrów. Rze-

---

Łuna spalonych przed wiekami ognisk kupalnej nocy wisi na niebie i czuję w piersi żar przed wiekami pogasłych ogni...

Świąteczny zapach ruty i piołunu, kadzidłowy zapach bylicy i dziewanny, dymna woń obrzędowych ziół dusi mnie za gardło.

Obłędna, krótka noc,
Świętojańska noc!
Dziś — dziś...

Noc, przepalona skwarną pożogą płomiennych upojeń,

Noc, przepojona duszną wonią odwiecznych pożądań, odwiecznych i wiecznotrwałych pragnień, które się ostały w powietrzu, choć proch nie ostał się z tych, którzy dyszeli niemi — ongiś...

Noc, w którą na siwe głazy uroczyska schodzą stare bogi i radzą,

Noc, w którą wolno rzucać w przestrzeń czarną słowa, jak łzy gorzkie i jak łzy palące,

Słowa szalone, które usta do krwi ranią i na przepadłe lecą,

Słowa bolesne a słodkie, jak ostatnie zapachy jesieni,

Słowa pełne zadławionych jęków, które tylko ta noc ciemna rozumie,

Noc, zatajona w sobie, niema, nadsłuchująca.

Obłędna, krótka noc.
Świętojańska noc.
Dziś — dziś...

— — — — — — — — — — — — — — — —

Dziś ze zgliszcz kupalnych ogni wstać może pieśń wielka, porwać się może od ziemi, niezaczęta, nieskończona, niewyśpiewana pieśń!

Duchy ludzkie z ust do ust podają sobie słowa jej nieśmiertelnej treści, słowa pieśni przedwiecznej, przez zawieruchę pędzących stuleci, z cichym deszczem konających godzin lecącej, pieśni, co niezaczęta i nieskończona, gdzieś w głębiach wszechświata o słońca nieznane bije skrzydłami nieobjętej, bezkresnej tęsknoty...

O pieśni ogromna, niewyśpiewana pieśni!

— — — — — — — — — — — — — — — —

Patrzę w głąb lasu. Stoi głuchy i martwy. Patrzę weń, jak w czarną nawę zapadłego kościoła i chwyta mnie lęk... Wejść — trzeba wejść...

A jeśli ten las będzie milczał, jeśli mi nie odpowie, jeśli zatai w sobie to, co wiedzieć pragnę?!...

A jeśli ten las będzie mówił, jeśli mi tę pieśń duchów ogromną objawi, jeśli mi oczy blaskiem jej treści porazi?! Czy znajdę w sobie dość mocy?...

czywiście frak przybrał dla młodych znaczenie symbolu.

Chcąc dowieść swego lekceważenia dla form przyjętych, cała grupa dopuszczała się różnych wybryków, ażeby je ośmieszyć. Paulina Wilkońska opisuje w swych pamiętnikach jedną z ich zabawnych manifestacji. W piękne słoneczne popołudnie wiośniane, gdy całe miasto używało spaceru, Warszawa ujrzała dziwne widowisko. Oto cyganie przenosili na nowe mieszkanie ubogie sprzęty jednego z kolegów i defilowali z wielką powagą przez najwięcej uczęszczane ulice. Improwizowani tragarze ubrani byli we fraki, cylindry i białe krawaty, które chcieli tym sposobem ośmieszyć i nieśli: ten kulawe krzesło, ów odrapany kuferek, nie bacząc na gromadzące się tłumy ciekawych.

Płatano też znienawidzonym filistrom różne figle, nie zawsze równie niewinne. Dzwoniono w nocy do spokojnych mieszkańców, budzono ich pod rozmaitemi śmiesznemi pozorami, straszono, słowem dopuszczano się dziecinnych czynów, trudnych do zrozumienia, gdybyśmy nie znali powodów, które je wywołały.

Te wszystkie pojęcia i uczucia znalazły swój wyraz w literaturze. Literatura, chaotyczna, gwałtowna, bóstwiła lud, ale nadewszystko tonęła w mistycyzmie. Owe tajemnicze strony życia, wiążące człowieka z naturą i całym przeczuwanym, nadprzyrodzonym światem, odzywają się w Dziekońskim, Zmorskim, a szczególniej w Norwidzie.

Przed półwiekiem z górą nie znane były jeszcze nazwy hypnotyzm, medjumizm i t. d., jakiemi posługuje się dziś nauka, ale rolę odpowiednią odgrywał magnetyzm. Nasze społeczeństwo zajmowało się nim bardzo, skoro jeszcze w drugiem dziesięcioleciu XIX wieku Emanuel Lachnicki, wydał P a m i ę t n i k m a g n e t y c z n y. A chociaż wówczas nie było mowy o materjalizacjach, jasnowidzące otoczone były widziadłami, przenikały rzeczy odległe, czytały bez pomocy oczu, uzdrawiały chorych, przez lekarzy opuszczonych.

Wierzono więc w istnienie nadprzyrodzonego świata, wierzono, że otaczają nas zewsząd istoty niewidzialne, a tem samem rzeczy, objęte zmysłami, musiały tracić swoje znaczenia, wydawały się symbolem przedwiecznych pierwowzorów, człowiek odczuwał, że jest igraszką potęg tajemniczych, że czyny własne wymykają się jego woli, są następstwem przyczyn, dla nas niepojętych.

Tajemniczość rodzi tajemniczość. Czy możemy wypowiadać się jasno, skoro wszystko w koło nas i w nas samych jest nam tylko dostępne z pozoru. Bezświadomi, błąkamy się zgubieni w chaosie. Wobec tego nie podobna żądać, by sztuka i literatura wypowiadały się jasno. Żaden twórca nie może uzewnętrznić więcej, niż mu jest wiadomem, nie w jego mocy dać to, czego sam nie posiada. Jeśli świat cały ukazuje mu się jako szereg zagadek, musi go zagadkowo przedstawiać. Głębsze umysły jednak odczuwają i wierzą, że w tych pozornych zagadkach ukrywają się rzeczy, niedostępne słabym zmysłom, że one temu chaosowi nadają ład, że mają symboliczne znaczenie. Symbolizm jest jedną ze stron romantyzmu, spotykamy go we wszystkich niemal jego wyznawcach. Symbolistą był Krasiński, Słowacki i Mickiewicz, a nawet im umysł głębszy i więcej badawczy, tem symbol silniej do niego przemawia. Czem umysł jest logiczniejszy, tem prędzej mistyczne przesłanki muszą doprowadzić go do symbolizmu.

Takim logicznym umysłem był Cyprjan Norwid. Szukał on pracowicie swej drogi, usiłował naprzemian wypowiedzieć się dłutem, piórem, ołówkiem, wcielić myśl swoją w kształt plastyki lub poezji.

Roczniki sztuki wspominają o wielu artystach, obdarzonych wszechstronnemi zdolnościami, którzy pracowali na różnych polach i na każdem się odznaczyli. Ale nie mówiąc o tych duchowych mocarzach, są ludzie, którzy, szukając pracowicie swej drogi, przerzucają się koleją od jednej sztuki do drugiej, bo żadna nie zdaje im się odpowiednią. Czasem to wahanie pochodzi z nadmiernego bogactwa pomysłów. Człowiek, opętany niemi, szuka sposobu, jakim by się mógł najlepiej wypowiedzieć, jak ten, co posiadając kilka języków, używa ich wedle potrzeby.

Najczęściej artysta, nie mogąc samego siebie zadowolić, chwyta po kolei za pędzel, dłuto, pióro. Myśl skrępowana formą, której wedle woli nagiąć nie umie, rwie się, szarpie, szukając coraz innej, skoro ta okazuje się oporną.

W dziwnym, jak z pod ziemi bijącym brzasku, smukłe pnie sosen stoją jeden przy drugim, jak zwarte flety organu. O nocy świętojańska,

Obłędna, krótka nocy,

— Mów, czy to — prawda!?

* * *

Dziś — dziś — powiedział mi las, że nie prawda...

W głuchą, zaczarowaną noc, kiedy z zapartym oddechem stoją drzewa, przeleciała nademną ta pieśń czekana, jak stado ptaków ogromnych, których każde skrzydło jest napiętą i na wichrze grającą harfą...

Przeleciała nademną ta pieśń, jak światło szybka i jak światło niepochwycona, nieujęta, przebrzmiała.

Ogromna, nieśmiertelna pieśń!...

W zaczarowaną, krótką noc, przez którą niebo z pożogi słonecznej nie stygnie.

W jedyną noc, kiedy echo śpi.

Oprócz mnie nie słyszał nikt — nikt...

— Wrócę...

...Tędy — łąką....

D. mol.

Ci młodzi obejmowali zwykle zbyt szerokie horyzonty, zwłaszcza zbyt szerokie na swoją wiedzę, a tem trudniej było im dać sobie radę, im wzrok sięgał dalej i rozróżniał subtelniejsze odcienia.

Harmonję łatwo otrzymać w rzeczach drobnych, nie sięgających ani zbyt głęboko, ani zbyt wysoko. Im szerszy zakres, tem więcej twórca musi swoim przedmiotem owładnąć, dokładniej zdać sobie sprawę z własnych pojęć, z ich doniosłości.

Norwid, jeśli nie talentem to umysłem przerastał grono współtowarzyszów. Nie przestawał na sielance, erotyce, fantazji, szukał rozwikłania najważniejszych zagadnień bytu, a znalazłszy się w Paryżu, zawiązał stosunki z Mickiewiczem, Słowackim i wielu innymi, z którymi łączyły go mistyczne wierzenia.

Dzisiaj imię Norwida przebrzmiało oddawna i zapomniane zostało, chociaż umiał przyjaźń zabrać ze świętymi. Był to jeden z tych zwyciężonych życiem, co nigdy nie zdołali dostroić utworów do kamertonu duszy, ale zasługuje on na pamięć chociażby z powodu miary swoich usiłowań. Gdy tymczasem u tylu producentów literackich i artystycznych piękna forma pokrywa nicość myśli.

Dzisiaj trudno bardzo osądzić, czy był więcej uzdolniony do sztuk plastycznych, czy do poezji, bo żadna ręka przyjazna, nie zebrała jego artystycznej puścizny, a puścizna literacka także nie doszła nas w całości.

Jakkolwiek czas jakiś poświęcał się rzeźbie, nie stworzył w tym kierunku trwałego dzieła, przynajmniej wiadomość mnie o tem nie doszła. Rzeźba, najkonkretniejsza ze sztuk plastycznych, potrzebuje jasnej myśli i sumiennych studjów. Tych warunków Norwid nie posiadał. Był dobrym rysownikiem, szkice jego najczęściej piórem, przy rozmowie rzucone od niechcenia, ilustrowały jej temata i nieraz zdradzały humorystyczną werwę.

Dziś, przy rozbudzonym ruchu literackim, talent rysowniczy byłby mu zapewnił byt dostatni i pozwolił zdolnościom rozwinąć się prawidłowo. W owym czasie nie było jeszcze miejsca w naszem społeczeństwie ani dla pracowników pióra, ani ołówka. Cenne jego szkice ginęły, a co najwyżej ozdabiały albumy przyjaciół.

W r. 1845 Norwid opuścił kraj rodzinny, do którego nigdy już nie miał powrócić. Zrazu zwiedzał Niemcy i Włochy, bawił czas jakiś w Paryżu, potem wybrał się do Ameryki, gdzie przebył lat parę i znowu do Paryża powrócił. Ówczesna stolica polskiego poetycznego i mistycznego ruchu nęciła go więcej od innych miast, odpowiadała potrzebom ducha.

Długi czas utrzymywał się z rysunków, dostarczanych do pism ilustrowanych zagranicznych. Jednak z postępem ogarniającej go tęsknoty, a szczególniej wzrastającego mistycyzmu, rysunki jego stawały się tak niejasne, że trudno odgadnąć ich właściwą myśl. Weźmijmy n. p. jeden z nich pod tytułem Solo. Wschodzące słońce, połamane szczyty drzew, rozmaite narzędzia muzyczne, a wśród nich zamyślona kobieta, może to być symbolem wielu rzeczy, tłumaczyć go można wedle woli i fantazji, ale potrzebaby klucza do właściwej myśli artysty.

Osoby, które miały wstęp do Norwida i zjednały sobie jego zaufanie, opowiadają, iż przy ustnych objaśnieniach, jakiemi swoje ryciny uzupełniał, miały one głębokie znaczenie. Skoro jednak objaśnienia do nas nie doszły, musimy je uważyć jako hieroglify, które prawdopodobnie nigdy nie będą odczytane. Tajemnicę ich zabrał twórca do grobu.

Równie niezrozumiałe były jego późniejsze poezje. Te, które pisał w kraju, dźwięczą nutą, wspólną wielu poetom obecnej doby, i nie tylko u nas — nutą bezbrzeżnego smutku. Ta nuta jest u Norwida tak szczera, tak niezmienna i tak rozdzierająca, że tę jedną wypowiadał zwykle w sposób jasny i prosty.

W powody smutku każdej duszy ludzkiej wchodzić niepodobna. Powodów jest na świecie tak wiele, iż każdy ułożyć sobie z nich może całe symfonje. A przytem każdy odczuwa je subjektywnie. Jednakże u Norwida do wszystkich innych dołączyła się męka, spowodowana własną nieudolnością, męka ducha, który usiłuje się wypowiedzieć, a wypowiedzieć nie jest w stanie.

Według słów Mickiewicza, jest to męka wszystkich umysłów twórczych: „Język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie“. Ale Norwid musiał odczuwać ją silniej, bo skarży się na nią prawie ciągle. Już w jednej z pierwszych poezji swoich, Chwila myśli — woła:

Błogosławieni, którym gardła dźwięki,
Mogą wystarczyć, którym dosyć ręki,
Ażeby pisać...

Daleko wyraźniej wypowiada tę samą myśl w wierszu, pisanym kilka lat później we Florencji, pod tytułem: Moja piosnka:

Źle, źle zawsze i wszędzie
Ta nić czarna się przędzie,
Ona ze mną, przedemną i przy mnie,
Ona w każdym oddechu,
Ona w każdym uśmiechu,
Ona w łzie, w modlitwie i w hymnie.
. . . .
Lecz nie kwiląc jak dziecię,
Raz wywalczę się przecie;
Złotostrunna nie opuść mnie lutni,
Czarnoleskiej ja rzeczy
Chcę.. ta mnie uleczy.
I zagrałem... i jeszcze mi smutniej.

Wezwanie

Gdy noc, woniami duszna i parna,
Makowe w koło rozrzuci ziarna,
A z mokrych jarów ciszy głębokiej
Strach się podniesie w mgle — wielkooki,
Za kwiatem szczęścia błądzić daremno
Pójdziesz ty ze mną?
W las, po upalnym dniu nie ostygły,
W las, świerkowemi wysłany igły,
W tę noc czerwcową, głuchą, tajemną,
Kędy wśród smukłych, żywicznych pni
Najkrótszej nocy bajka się śni,
W noc Świętojańską, milczącą, ciemną
Pójdziesz ty ze mną?
Deszcz chłodnej rosy otrząsać z liści
W zaczarowany, uśpiony bór,
W gąszcz paprociowych wilgotnych piór,
W tę noc czerwcową, głuchą, tajemną —
Choć żaden z naszych snów się nie ziści,
Choć wiesz, że będziem błądzić daremno,
Czy pójdziesz ze mną?! —

Zawrat.

Dwie prace prof. Gumplowicza.

I. Dr. Gumplowicz Ludwik. *Ibn Chaldun*, socjolog arabski XIV wieku. Warszawa 1899 str. 18. Tegoż *Socjologiczne pojmowanie historji*. Warszawa 1899 str. 18. (Odbitki z „Przeglądu filozoficznego").

Pomimo, że prof. Gumplowicz pisuje wyłącznie prawie po niemiecku (w języku polskim oprócz dwóch wymienionych rozprawek napisał jeszcze głośny *System socjologji*), jednak naukowe poglądy jego na zjawiska socjologiczne są dość znane nawet i szerszej naszej publiczności, a to głównie dzięki ich oryginalności i śmiałości, jak również charakterowi negacyjnemu i destrukcyjnemu i zacięciu polemicznemu w stosunku do panujących teorji naukowych w socjologji. Atoli nie uważamy za zbyteczne zaznajomić czytelnika z treścią dwóch nowszych rozprawek prof. Gumplowicza, a to tembardziej, że jedna jest nader interesująca ze względów historycznych, druga zaś jest na czasie, — aktualną.

Sporą dozę trosk ogromnej większości myślicieli stanowią troski o to, aby teorje ich znalazły możliwie większą ilość zwolenników i wyznawców: dojść zaś do tego upragnionego celu, wieńczącego pracę całego szeregu lat, można — zdaniem prof. Gumplowicza, któremu, jak to widać ze wszystkich dzieł jego, bardzo a bardzo chodzi o jaknajszersze i jaknajprędsze przyjęcie się jego teorji, że nawet posuwa się do wyrażania się o swoich przeciwnikach z pogardą, politowaniem — do tego celu dojść można dwoma środkami: z jednej strony drogą jaknajdokładniejszego poznania i ocenienia odnośnych zjawisk i umiejętnego ich spożytkowania celem wydania ostatecznych wniosków i definicji, z drugiej zaś strony drogą powoływania się na powagi t. j. na spostrzeżenia i twierdzenia myślicieli różnych czasów i narodów. Pierwszego środka używał prof. Gumplowicz od samego początku swej działalności naukowej, starając się we wszystkich swoich rozprawach i pracach jaknajszerzej uzasadnić i pogłębić swoją teorję, z drugiego zaś środka, uznając naturalnie, że „w nauce nie ma on pierwszorzędnego znaczenia" — zamierza korzystać w pierwszej z wymienionych w nagłówku niniejszego sprawozdania rozprawek.

W *Ibn Chaldun'ie* prof. Gumplowicz, *le terrible Autrichien* — jak go nazwał socjolog francuski Tarde — chce dowieść, że teorja jego znana nie tylko zresztą w świecie naukowym pod nazwą „teorji Gumplowicza" nie jest tylko jego, bo „przed wiekami znali ją myśliciele różnych narodów" i że z tego właśnie powodu musi w tem pojęciu zjawisk społecznych tkwić jakaś prawda, że ta teorja przez niego głoszona nie jest teorją bezpodstawną, skoro właśnie i w dawniejszych czasach różni uczeni „w pojęciu takiem się zgadzają i zgodnie w pojęciu takiem szukają klucza do umiejętnego rozwiązania zagadnień społecznych."

Otóż jednym z takich myślicieli (o innych prof. Gumplowicz nie robi żadnej nawet wzmianki) był *socjolog* arabski — jak go nazywa prof. Gumplowicz — Ibn Chaldun (ur. w Tunisie w r. 1332, um. w Kairze w r. 1406), pełniący obowiązki sekretarza najpierw u sułtana Abu Iskaka w Tunisie, następnie zaś u innych sułtanów w Afryce. Z jego więc zapatrywaniami na zjawiska społeczne zaznajamia czytelników prof. Gumplowicz w swej rozprawce „Ibn Chal-

dun", przytaczając ciekawsze ustępy w streszczeniach lub dosłownem tłumaczeniu z *Prolégomenes historiques d'Ibn Chaldun*, dokonanego z oryginału arabskiego przez de Slane'go (Paryż 1857).

Sądzimy, że nie od rzeczy będzie, jeśli przytoczymy tu niektóre tego „socjologa" arabskiego poglądy, z których wiele odznacza się głębokością i dokładnością definicji, tak iż rzeczywiście, czytając je, niejednokrotnie nasuwa się czytelnikowi pytanie „czy Ibn Chaldun — jak wyraża się prof. Gumplowicz — wyprzedził swój czas o pół tysiąca lat czy dzisiejsi uczeni w sprawach socjalno-politycznych o tyleż lat jeszcze pozostali w tyle?"

Ustrój szczepowy uważa Ibn Chaldun już za wyższy szczebel organizacji społecznej, różnice zaś pomiędzy ludami tłumaczy wpływem środowiska, wpływem otaczającej przyrody (np. klimatu). Szczepy ludzkie, oddając się różnym zawodom, różnym sposobom życia, według różnych warunków otoczenia różne mają usposobienia i różne przebywają fazy rozwoju np. rybołówstwa, koczownictwa i t. p. Uznaje więc Ibn Chaldun teorję transformizmu, zmienności charakteru fizycznego ludów z biegiem czasu, przeto już w XIV wieku występuje przeciw niczem nieuzasadnionym podaniom o pochodzeniu różnych ludów od Sema, Chama i Jafeta.

Ludzie łączą się w społeczeństwa „tylko w celu pomagania sobie w osiągnięciu środków do życia"; po osiągnięciu najprostszych starają się zaspakajać potrzeby wykwintniejsze i w końcu dochodzą do opływania w dostatki. Różnice zaś usposobień ludzkich, różnice klasowe i rasowe wyprowadza „socjolog" arabski ze sposobu życia pędzonego przez szereg następujących po sobie pokoleń.

Prawidłowość spostrzeganą w przyrodzie stosuje Ibn Chaldun również i do zjawisk społecznych. Uznaje on wpływ środowiska społecznego na jednostkę, robi spostrzeżenia co do wzajemnych oddziaływań różnych grup społecznych, przedstawiając je jako wytwory ich środowisk, zna więc prawo akomodacji do środowiska i nie wyjmuje człowieka z pod praw ogólnych, którym on zarówno ze wszystkiemi zwierzętami podlega.

Widzimy więc, że Ibn Chaldun mógłby być uważanym z wielu względów, szczególniej z powodu swoich analogji biologicznych za poprzednika Darwina lub Comte'a i że z tego właśnie powodu w wielu punktach zgadza się on z zapatrywaniami biologicznej szkoły socjologicznej, do której należy większość uczonych, a której jednak stanowczym przeciwnikiem jest prof. Gumplowicz. Atoli w niektórych poglądach, i to właśnie w tych, na które w dziełach swoich prof. Gumplowicz kładzie największy nacisk, zgadza się teorja Ibn Chalduna z teorją prof. Gumplowicza.

Według „teorji Gumplowicza" czynnikiem najpotężniejszym „wprawiającym w ruch zawsze i wszędzie proces dziejowy" — jest antagonizm socjalny t. j. walka jednych grup społecznych przeciwko drugim. Ibn Chaldun zaś jako czynniki rozwoju ludzkości przyjmuje „różnorodne g a t u n k i ludzi, powstałe w sposób naturalny przez przystosowanie się ich do środowisk, bądź fizycznych, bądź ekonomicznych i społecznych. Rolnicy, pasterze, mieszczanie — oto żywioły, których wzajemne na siebie oddziaływanie prowadzi do zakładania państw i rządów, a których wzajemne stosunki podwładności lub przewagi decydują o losach tych wyższych ustrojów społecznych".

„Przez podbój — mówi Ihn Chaldun — powstają państwa"; toż samo twierdzenie jest kamieniem węgielnym „teorji Gumplowicza".

W każdym wielkiem państwie rozróżnia Ibn Chaldun szczepy i plemiona od narodu. Państwo i narodowość są to zjawiska zupełnie różne — głosi w każdem swem dziele prof. Gumplowicz.

Również z określeniem państwa przez Ibn Chalduna, jako „związku ludzi wytworzonego przez moc stosunków", godzi się najzupełniej prof. Gumplowicz; ustawy zaś pisane uważa Ibn Chaldun za środek, mający na celu pogodzenie dwóch n. p. powaśnionych warstw społecznych, prof. Gumplowicz zaś definjuje jako „ustalone odgraniczenie sfery działania jednej grupy społecznej od drugiej".

Daje też Ibn Chaldun nadzwyczaj zdrową — jak nam się zdaje — odpowiedź na pytanie: kto robi historję, osobniki czy masy? — „Jednostki jeżeli mają poparcie mas, albo też masy znajdujące przewodnie jednostki, które się oddają w służbę ich dążnościom i aspiracjom".

Ale, śledząc za rozwojem dziejów, uwzględnia też i czynności ideologiczne. Mówiąc o „zgodzie serc i umysłów" t. j. o przejęciu się jakąś ideą, która ludzi do różnych czynów zagrzewa, widzi w łączności ogromną siłę i twierdzi, że z tego stanowiska wspólność społeczna t. j. przynależność do pewnej grupy społecznej, ożywionej jedną przewodnią ideą działa w życiu państw silniej, niż wspólna genealogja, której dopiero potrzeba dochodzić drogą umiejętną.

Zrobiwszy pewne zastrzeżenia co do niektórych poglądów Ibn Chalduna, jako niezgodnych z obecnym stanem nauki, lub nie mających jeszcze — jak n. p. twierdzenia zgodne z niektóremi poglądami prof. Gumplowicza — w nauce ogólnego prawa obywatelstwa, zgodzić się potrzeba ze zdaniem autora rozprawki o „socjologu" arabskim XIV. w., że Ibn Chaldun „obserwował bardzo głęboko i trzeźwo zjawiska społeczne".

Z pism i książek.

Wykład Ekonomji politycznej. Podręcznik dla uniwersytetów ludowych i dla samouków. Napisał Władysław Studnicki-Gizbert.

Od dawna czuć się dawał w literaturze naszej tłómaczonej i oryginalnej brak podręcznika ekonomji i politycznej, napisanego zwięźle i obejmującego zarys podstawowych procesów gospodarczych.

Ekonomja polityczna Iwaniukowa, dziś już nieco przestarzała, ma większe znaczenie dla Rosjan, niż dla nas, gdyż autor poświęca dużo miejsca opisowi gminnego władania ziemią w Wielkorosji.

Drugie dziełko Iwaniukowa o rozwoju teorji ekonomicznych nie obejmuje czasów najnowszych. Autor nie zawsze umiejętnie streszcza cudze poglądy.

Zresztą obie prace rosyjskiego ekonomisty są już wyczerpane.

Dzieło Gide'a doczekało się u nas drugiego wydania, nie posiada jednak głębszej wartości.

O wiele lepszym — zdaniem mojem — od prac powyższych jest »Zarys ekonomji społecznej« pani Zofji Daszyńskiej. Autorka nagromadziła dużo materjału faktycznego, a w ocenianiu różnych kierunków naukowych starała się być bezstronną.

Praca pana Studnickiego, znanego już z dziełek o Syberji i Szwajcarji, zjawia się bardzo na czasie.

Autor przedstawia rozwój stosunków gospodarczych od pierwotnego komunizmu aż do współczesnego kapitalizmu w sposób dokładny, a zwięzły.

Z przedstawienia tego czytelnik dużo skorzystać może, poznając względność instytucji ekonomicznych, ich genezę i stan obecny. Autor opierał się na najgruntowniejszych znawcach rozwoju ekonomicznego społeczeństwa, uwzględnił cenne studja Büchera, Kowalewskiego i innych. W poglądach swych na mechanizm współczesnego ustroju kapitalistycznego idzie w punktach zasadniczych za Marksem; w wielu jednak szczegółach wypowiada poglądy zupełnie samodzielne. Pan Studnicki-Gizbert akcentuje silnie w swej pracy czynniki narodowościowe, zwykle mało uwzględniane.

Grupę klasowo-narodową uważa za jednostkę solidarną, której interesy przeciwstawiają się innym grupom tej samej narodowości, lecz innych klas, lub tej samej klasy, lecz innych narodowości.

W poglądzie tym autor odstępuje od marksizmu, który uważa interesy proletarjatu za solidarne, bez względu na narodowość. Autor poglądy swe ilustruje faktami. Cechą charakterystyczną pracy Studnickiego-Gizberta, jest rozważanie procesów ekonomicznych w połączeniu z politycznymi. Ten sposób traktowania zjawisk gospodarczych jest bardzo trafny i słuszny, odpowiada zupełnie rzeczywistości. Bardzo często doktrynerzy ekonomiczni przedstawiają procesy gospodarcze, jako rozwijające się zupełnie samorzutnie; w przedstawieniu tem akcja polityczna występuje jako coś dodatkowego, nieważnego. P. Studnicki jest innego zdania.

Zaznacza tu doniosłość ekonomiczną niezależności państwowej. Mówiąc o naszych stosunkach, wykazuje straty, jakie ponosimy przez brak bytu politycznego.

Autor uwzględnił też kwestje sporne w teorji Marksa, jakie się zarysowały w czasach ostatnich. Dość obszernie, jak na mały podręcznik, traktowana jest kwestja agrarna, zgodnie przeważnie z Kautskym.

Dalszy rozwój stosunków ekonomicznych w kierunku uspołecznienia produkcji autor wyobraża sobie nie w sposób szablonowy, jak to ma zwykle miejsce.

Nie sądzi, aby drogą ewolucji samorzutnej ustrój kapitalistyczny przeobraził się w socjalistyczny. Stojąc na gruncie realnym, przypuszcza zarówno powolne przeobrażenia społeczne, jak i silne wstrząśnienia. Nie wierzy, aby klasy posiadające robiły ciągle ustępstwa robotnikom. Niepokoi go założone przez kapitalistów niemieckich towarzystwo ubezpieczeń od strejków, które może uniemożliwić te ostatnie.

Wszystkie swe wywody autor ilustruje faktami i statystyką. Czytelnik znajdzie w powyższej książce ciekawe dane o strejkach, o wzroście ludności, o ilościowym stosunku małych i wielkich gospodarstw.

W notatce niniejszej nie możemy streszczać poglądów autora, chcemy tylko dać ogólną charakterystykę dziełka.

Mówiąc o czasach nam współczesnych, o ruchu robotniczym, autor nie uwzględnił dostatecznie antagonizmu między »lumpenproletarjatem« niezorganizowanym, żyjącym z dnia na dzień, a zorganizowaną klasą robotniczą, złożoną z jednostek wykwalifikowanych, mających byt względnie zapewniony.

Powolne reformy, przeprowadzone drogą ustawodawczą, mogą zadowolić i zadawalają robotników względnie stale zatrudnionych, dla »lumpenprojetarjatu« są jednak niedostateczne. Ten ostatni z jednej strony dostarczać może zwolenników gwałtownego przewrotu, z drugiej zaś popierać tych wszystkich, którzy chwilowo w czemkolwiek mu pomogą. W Ameryce burżuazja najmuje »lumpenproletarjuszy« w czasie strejków, aby rozbijali robotników, odmawiających pracy.

Szkoda, że w książce pana Studnickiego nie ma rozdziału o kredycie. Ustęp o materjalizmie dziejowym jest zbyt ogólnikowy. Całość książki szpeci przedmowa, w której autor w sposób szorstki i niewłaściwy napada na recenzentów, zarzucając im nieuctwo. Pan Studnicki-Gizbert przesadza, sądząc, że nie ma w kraju ludzi kompetentnych w sprawach ekonomicznych, kompetentnych do sądzenia jego prac. Wprawdzie ruch umysłowy jest u nas słaby, nie w tym jednak stopniu, jak autor sądzi. Zresztą książka p. Studnickiego — opracowana samodzielnie, autor bowiem należy do umysłów niezależnych —, jest cennym nabytkiem dla naszej literatury.

K.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, ul. Kopernika 5.